

PANNA DE MAUPIN

PRZEDMOWA AUTORA

Jednym z najpocieszniejszych zjawisk chlubnej epoki, w której mamy szczęście żyć, jest niewątpliwie rehabilitacja cnoty podjęta przez wszystkie dzienniki bez względu na flagę, pod którą żeglują, czerwoną, zieloną lub trójbarwną.

Cnota jest niewątpliwie czymś bardzo czcigodnym i nie mamy bynajmniej chęci jej uchybić, niech nas Bóg strzeże! Zacna, poczciwa niewiasta! Jesteśmy zdania, że oczy jej błyszczą dość żywo spoza okularów, że pończochy ma niezgorzej obciążone, że czerpie niuch tabaki ze złotej tabakierki z całą gracją, że piesek jej dyga niczym tancmistrz nadworny. Takie jest nasze przeświadczenie. Zgodzimy się nawet, że jak na swój wiek jest dosyć pulchniutka i nosi swoje lata, nie można lepiej. Jest to babcia ze wszech miar przyjemna, ale — babcia... Uważam za dość naturalne, jeśli kto woli od niej, zwłaszcza mając dwadzieścia lat, jakąś małeńką niemoralność, zalotną, wymuskaną, niesrogą dziewczeczkę, z włosami nieco w nieładzie, spódniczką raczej kusą, nóżką i oczkiem drażniącym, z buzią lekko rozplamioną, ze śmiechem na ustach, a sercem na dłoni. Najpotworniej cnotliwi dziennikarze nie będą z pewnością innego zdania, a jeśli mówią inaczej, mocno podejrzewam, iż nie mówią, co myślą. Myśleć to, a pisać owo to rzecz, która zdarza się co dzień, zwłaszcza ludziom cnotliwym.

Przypominam sobie koncepty, jakimi przed rewolucją (mówię o rewolucji lipcowej) obrzucano owego nieszczęśliwego i dziewiczego wicehrabiego Sostena de La Rochefoucauld, który przydłużył suknie baletniczek Opery i umieścił swymi patrycjuszowskimi rękami wstydlawy plastery na słabiźnie wszystkich posągów. Wicehrabia Sostena de La Rochefoucauld został dziś mocno w tyle. Wstydlivość wydoskonaliła się znacznie i rodzi wyrafinowania, o jakich nikomu się nie śniło.

Mnie, który nie mam zwyczaju przyglądać się posągom w pewnych okolicach, listek figowy wycięty nożyczkami pana referenta Sztuk Pięknych wydał się, jak wielu innym, rzeczą najpociesniejszą pod słońcem. Zdaje się, że byłem w błędzie i że listek figowy jest jedną z najczcigodniejszych instytucji.

Opowiadano mi, wzbraniałem się dać wiary, tak mi się to wydało dzikie, że istnieją ludzie, którzy wobec *Sądu ostatecznego* Michała Anioła nie umieli zauważyć nic innego jak tylko epizod rozwiązyłych prałatów i zasłonili twarz podnosząc lament na ohydę i zgorzenie.

Tego rodzaju ludzie znają z romancy Rodryga jedynie strofkę o jaszczurce. Jeżeli istnieje jaka nagość w obrazie lub w książce, pędzą tam prosto niby wieprz do bajora, nie troszcząc się o rozwite kwiaty ani o piękne złociste owoce zwisające ze wszystkich stron.

Wyznam, że nie jestem na to dość cnotliwy. Doryna, bezczelna subretka, może do syta błyskać przede mną swoim pełnym łonem: z pewnością nie dobędę z kieszeni chusteczki, aby zakryć tę pierś, którą oglądać jest grzechem. Będę patrzył na jej biust tak samo jak na twarz i, jeśli jest biały i kształtny, będę patrzył z przyjemnością. Ale nie będę macał, czy suknia Elmiry¹ jest mięk-

¹ Doryna, Elmira, Tartuffe — postacie z Molierowskiego *Świętoszka*.

ka, i nie będę jej samej przyciskał świątobliwie do stołu, jak to czynił ów zacny „biedaczek“ Tartuffe.

Ta powszechna komedia moralności, jaka panuje obecnie, byłaby bardzo śmieszna, gdyby nie była bardzo nudna. Felieton staje się kazalnica; dziennikarz kaznodzieja; brak jedynie tonsury i rabatu. Nadszedł czas deszczu i godzinek; człowiek broni się przed jednym i drugim puszczając się na miasto jedynie dorożką i czytając *Pantagruela* między fajeczką a butelką.

„Słodki Jezu! Co za zajadłość! Co za furia! — Co was ugryzło? Co was ubodło?“¹ Kiż diabli każą wam drzeć się wniebogłoso? Co wam uczynił biedny grzeszek, aby się tak znęcać nad nim, on taki pocziwy, taki łatwy w pożyciu? On, który nie żąda nic więcej, jak tylko bawić się samemu, a nie nudzić innych, jeśli możebne? Na miły Bóg! Panowie kaznodzieje, i cóż byście wy poczęli bez grzechu? Od jutra bylibyście skazani na torbę żebracza, gdyby od dziś świat stał się cnotliwy.

Teatry zamknięto by tegoż samego wieczora. Z czego skleciłibyście felieton? Ani balów Opery, którymi zapelniecie szpały, ani powieści do krytykowania, jako iż bale, powieści, komedie to istne obrządki szatana, jeżeli wierzyć naszej świętej matce, Kościołowi. Aktorka odprawiłaby z kwitkiem protektora i nie miałaby z czego opłacać waszych pochwał. Ludzie nie abonowaliby dzienników; czytali by świętego Augustyna, chodziliby do kościoła, odmawiali różaniec. Byłoby to może bardzo chwalebnie, ale to pewna, wy byście na tym nie zyskali. Gdyby świat był cnotliwy, gdzież pomieścilibyście artykuły przeciw niemoralności epoki? Widzicie sami, że grzech przyda się na coś.

¹ Cytat z *Pantagruela* Rabelais'go.

Ale to moda dzisiaj być cnotliwym i chrześcijańskim, to kostium najnowszy kroju. Drapujemy się na świętego Hieronima jak niegdyś na Don Juana; dziś szanujący się człowiek winien być blady i zmizerowany, zapuszczać włosy po apostołsku, kroczyć ze złożonymi rękami i z oczyma wlepionymi w ziemię. Minka arcyświętobliwa; na biurku otwarta biblia, krucyfiks i palma święcona nad łóżkiem; nie przeklina, mało pali, zaledwie żuje tytoń. Za czym jest chrześcijaninem, mówi o świętości sztuki, o posłannictwie artysty, o poezji katolicyzmu, o księdzu de Lamennais, o malarzach szkoły anielskiej, o soborze trydenckim, o postępie ludzkości i mnóstwie tym podobnych pięknych rzeczy. Ten i ów zaprawia swą religię odrobiną republikanizmu: gatunek zaiste dość ciekawy! Sprzegają razem Robespierre'a i Chrystusa w sposób nad wyraz uciészny: mieszają z powagą godną uwielbienia czyny apostołów i dekrety „świętego“ Konwentu (sakramentalny przymiotnik!); inni jako ostatnią ingrediencję dodają jeszcze nieco idei saintsimonicznych. Ci już są kompletni, kwadratowi; po nich trzeba zamknąć listę. Nie jest dane śmieszności ludzkiej posunąć się dalej — *has ultra metas...* itd. To słupy herkulesowe ostatecznego błazeństwa.

Chryścianizm dzięki bieżącemu świętoszkostwu jest tak dalece w modzie, że nawet neochryścianizm cieszy się niejakim faworem. Powiadają, iż liczy aż jednego adepta łącznie z panem Drouineau.

Nadzwyczaj ciekawą odmianą dziennikarza tzw. moralnego jest dziennikarz z żeńską rodziną.

Ten posuwa skrupuł wstydlivosti aż do ludożerstwa lub blisko tego.

Jego postępowanie, jakkolwiek na pierwszy rzut oka proste i łatwe, jest mimo to wysoce pocieszne i na wskroś komiczne. Sądzę, że wart jest, aby

go zachować dla potomności — dla wnuków i prawnuków, jak powiadały peruki rzekomego „wielkiego” stulecia.

Przede wszystkim, aby się wspiąć na ten koturn, trzeba paru drobnych utensyliów, na przykład ze dwie lub trzy legalne żony, parę matek, możliwie najwięcej siostr, przyzwoity komplet córek i nieskończoność kuzynek. Następnie potrzebna jest sztuka teatralna lub jakaś powieść, pióro, atrament, papier i drukarz. Trzeba by także może czegoś w rodzaju myśli i trochę abonentów; ale można to zastąpić dużą dozą filozofii i pieniędzmi akcjonariuszów.

Posiadając to wszystko można się namaścić na dziennikarza *m o r a l n e g o*. Dwie następujące recepty, odpowiednio urozmaicone, wystarczą.

Wzór cnotliwych artykułów o pierwszym przedstawieniu sztuki:

„...Po literaturze krwi — literatura gnoju; po mordzie i galerach — alkowa i lupanar; po szmatach splugawionych mordem — szmaty splugawione rozpustą; po... itd... (wedle potrzeby i miejsca można tym tonem ciągnąć od sześciu aż do pięćdziesięciu wierszy i więcej) — to słuszne. Oto do czego prowadzi zapomnienie zdrowych zasad i wyuzdanie Romantyzmu: teatr stał się szkołą prostytucji, dokąd trudno się zapuszczać bez drżenia w towarzystwie kobiety, którą się szanuje. Idziecie na wiarę znakomitego nazwiska i jesteście zmuszeni opuścić salę w połowie trzeciego aktu, z młodą córką, pomieszaną i wystraszoną. Żona kryje rumieniec pod wachlarzem; siostra, kuzynka itd...”

(Można do woli odmieniać pokrewieństwo; wystarczy, aby to były samiczki.)

Nota. Znałem jednego, który posunął moralność aż do takiego oświadczenia: „Nie zaprowadziłbym na tę

sztukę mej kochanki.“ — Co do tego pana, podziwiam go i kocham; noszę go w sercu, jak Ludwik XVIII nosił w swoim całą Francję; albowiem wpadł on na myśl najbardziej triumfalną, piramidalną, obłądną, luksoryjską, jaka wyległa się w mózgu człowieka w tym błogosławnym dziewiętnastym wieku, przebogatym w tak ucieszne pomysły.

Metoda oceny książki jest nader poręczna i stoi na wyżynach wszelkiej inteligencji:

„Jeżeli chcecie czytać tę książkę, zamknijcie się pilnie w gabinecie, nie zostawiajcie jej na stole. Gdyby żona wasza i córka ważyły się ją otworzyć, byłyby zgubione. Jest to książka niebezpieczna, pełna podszeptów do grzechu. Za czasu Crébillona miałyby może wielkie powodzenie w kawalerskich mieszkaniach, podczas kolacyjek w wesołym towarzystwie; ale teraz kiedy obyczaje zdołały się otrząsnąć z zepsucia, teraz kiedy ręka ludu zwaliła spróchniały gmach arystokracji itd., itd., kiedy... kiedy... trzeba w każdym dziele myśli, myśli... tak, myśli moralnej i religijnej, która... wysokiego i głębokiego spojrzenia, odpowiadającego potrzebom ludzkości... Ubolewania godnym jest, iż młodzi pisarze poświęcają najczcigodniejsze rzeczy dla sukcesu i obracają talent, godny zresztą uznania, na lubieżne malowidła, które by przyprawiły o rumieniec rotmistrza dragonów (dziewiczość rotmistrza dragonów jest, po odkryciu Ameryki, najpiękniejszym odkryciem, jakiego dokonano). Romans, którego krytykę zamieszczamy, przypomina *Teresę filozofkę*, *Felicję*, *Kuma Mateusza*, *Powiatki* Grécourta.“ (Cnotliwy dziennikarz zdradza olbrzymią erudycję w zakresie plugawych romansów; ciekaw byłbym wiedzieć czemu?)

Przerażającym jest myśleć, że istnieje po naszych dziennikach wielu uczciwych rzemieślników, którzy po-

siadają jedynie te dwie recepty dla wyżywienia siebie wraz z liczną rodziną.

Widocznie jestem osobistością najpotworniej niemoralną w Europie i gdzie indziej, nie widzę bowiem w dzisiejszych komediach i romansach nic bardziej wyuzdanego niż w romansach i komediach dawnej doby i nie rozumiem, czemu uszy panów dziennikarzy stały się nagle tak purytańsko drażliwe.

Nie sądzę, aby najniewinniejszy dziennikarz śmiało powiedzieć, iż Pigault-Lebrun, Crébillon-syn, Louvet, Voisenon, Marmontel i inni płodziciele romansów i powiastek nie przewyższają w niemoralności, skoro konieczne ma być „niemoralność!“, najbardziej rozczochranych i wyuzdanych produkcji panien X lub Z, których nie wymieniam przez szacunek dla ich wstydlivosti.

Trzeba by najpotworniejszej złej wiary, aby się na to nie zgodzić.

Niech mi nikt nie zarzuca, że przytaczam tu mało znane lub też osławione nazwiska. Jeśli nie tykam najświetniejszych i pomnikowych, to nie dlatego, aby nie mogły mocą swej powagi poprzeć mego twierdzenia.

Romanse i powiastki Woltera, poza różnicą wartości, z pewnością równie nie nadają się na „nagrody pilności“ w żeńskich pensjonatach, co niemoralne powieści naszego przyjaciela lykantropa, a nawet moralne powiastki słodkawego Marmontela.

Co widzimy w komediach wielkiego Moliera? Świętą instytucję małżeństwa (styl katechizmu i dziennikarzy) zohydzoną i podaną w każdej scenie na pośmiewisko.

Mąż stary, brzydki i cherlawy, z peruką na bakier i w niemodnym kubraku; laska z zakrzywioną rączką, nos zababrany tabaką, nogi krótkie, brzuch wielki jak budżet państwowy. Jąka się i gada głupstwa; działa, jak

mówi; nic nie widzi, nic nie słyszy. Wyściskują mu żonę pod nosem, on nie wie, co się dzieje; trwa to póty, aż wreszcie widz stwierdzi dokładnie i namacalnie obecność rogów na czole tych pocziwców, w oczach ich samych i całej sali, która jest wysoce zbudowana i klaszcze, ile sił starczy.

A najwięcej oklaskują ci, którzy są najwięcej... żonaci.

Małżeństwo nazywa się u Moliera Grzegorzem Dynałą lub Sganarelem.

Cudzołstwo — Damisem lub Klitandrem; nie ma dlań dość słodkiego i czarownego imienia.

Cudzołstwo jest zawsze młode, piękne, dobrze zbudowane i nosi tytuł co najmniej markiza. Wchodzi nućąc za kulisami najświeższego kuranta, zjawia się na scenie z miną najpewniejszą w świecie, triumfalną; drapie się po uchu zalotnie wyostrzonym i różowym paznokietkiem u małego palca; przyczesuje szylkretowym grzebieniem blond kędziory i poprawia puszyste kordonki u pludrów. Surdut i spodenki giną pod mnóstwem tasiemek i wstążeczek, rabaty wyszły spod igły najlepszej modniarki; rękawiczki wonieją piękniej niż piżmo i paczula; pióra kosztowały ludwika za ździebełko.¹

Jakież płomienne oko i kwitnące policzki! Jakie uśmiechnięte usta! Białe ząbki! Jakaż mięciutka i starannie umyta ręka!

Kiedy się odezwie, sieje same madrygały, wonne galanterie w stylu najlepszego towarzystwa; zna wszystkie romanse, uprawia poezję, jest dzielny i zawsze gotów dożyć szpady z pochwę; sypie złoto garściami. To też Angelika, Agnieszka, Izabela ledwie mogą się powstrzymać, aby mu się nie rzucić na szyję, choćby to

¹ Obrazek ten wzorowany jest na figurze „markiza de Mascaille” z *Pociesznych wykwintniś* Moliera.

były najlepiej wychowane i największe damy; toteż regularnie mąż wystrychnięty jest na dudka w piątym akcie, bardzo szczęśliwie, jeżeli nie w pierwszym.

Oto w jaki sposób poczyną sobie z małżeństwem Molier, jeden z najwyższych i najpoważniejszych geniuszów, jacy istnieli. Czy mniemacie, iż znajdzie się coś silniejszego w aktach oskarżenia *Indiany* lub *Walenty*?¹

Ojcostwo potraktowane jest z jeszcze mniejszym szacunkiem, jeśli to może być. Spójrzcie na Orgona, na Geronta, na nich wszystkich.

Jakże okradają ich własni synowie, jak grzmocą lokaje! Jak, bez litości dla wieku, autor obnaża ich skąpstwo, upór i głupotę! Cóż za żarty! Cóż za mistyfikacje! Jak ich wypycha za kark ze świata, biednych staruchów, którzy ociągają się ze śmiercią i nie chcą wyzuć się ze swych pieniędzy! Jakim tonem mówi się tam o długowieczności rodziców! Cóż to za wspaniałe akty oskarżenia przeciw zasadzie dziedzictwa, o ileż bardziej przekonywające niż wszystkie deklamacje saintsimonistów!

Ojciec to sinobrody, Argus, stróż więzienny, tyran, pionek dobry najwyżej na to, aby opóźnić małżeństwo przez trzy akty aż do końcowego wyjaśnienia. Ojciec jest pociesznym mężem w pełnym komplecie. Nigdy u Moliera nie jest śmieszny syn: Molier bowiem jak wszyscy autorowie wszystkich czasów kupował sobie względy młodej generacji kosztem starej.

A owi Skapenowie ze swym prążkowanym modą neapolitańską płaszczykiem i piórem u czapki, czy to nie są też ludzie wielce nabożni, cnotliwi i święci? Galery pełne są pocziwców, którzy zrobili jeno czwartą

¹ Powieści George Sand.

część tego co oni. Szelmstwa Trialfa są, w porównaniu, jeno skromnymi figielkami. A te Lizetki, Martusie, cóż za szelmy, miły Boże! Ulicznice mniej są szczwane, mniej chybkie w wyuzdanej replice. Jak one umieją wsunąć bilecik! Jak pilnie stoją na czatach podczas schadzki! Na honor, szacowne dziewczęta, nieocenione do rady i usługi.

W ogóle urocze społeczeństwo krząta się i przewija w tych komediach i krotocwilach! Opiekunowie dudki, mężowie rogacze, pokojówki rozwiązłe, służący hulaje, panny rwące się do mężczyzny, synowie hulacy, żony cudzołżne; czyż to niewarte melancholicznych młodzieńców i biednych uciemieżonych i dyszących miłością kobiet, jakimi raczą nas dramaty i powieści naszych mistrzów?

I to wszystko bez końcowego pchnięcia sztyletem, bez obowiązkowej szklanki z trucizną; rozwiązania są szczęśliwe niby w bajce o wrózkach. Cały świat, nie wyłączając męża, jest zadowolony. U Moliera cnota jest zawsze zohydzona i wygrzmocona kijem; ona to nosi rogi i nadstawia grzbiet pod rączy Maskaryla; ledwie jeden raz moral zjawia się z końcem sztuki w mieszczańskiej nieco postaci królewskiego urzędnika.¹

Wszystko, co mówię tutaj, to nie po to, aby podkopywać piedestał Moliera; nie jestem dość szalony, aby chcieć wstrząsać ten kolos z brązu wątlymi rękami. Chciałem po prostu wykazać nabożnym felietonistom, których rażą nowe i romantyczne dzieła, że dawni klasyści, których lekturę i naśladowanie tak zalecają, przewyższają tamtych o wiele w zuchwalstwie i niemoralności.

Obok Moliera mogą swobodnie się znaleźć i Mari-

¹ Molière, *Świętoszek*.

vaux, i La Fontaine, te dwa tak krańcowo przeciwne wyrazy francuskiego ducha, i Regnier, i Rabelais, i Marot, i wielu innych. Ale nie jest naszym zamiarem rozwijać tutaj z okazji „moralności“ wykład literatury na użytek felietonowych dziewic.

Zdaje mi się, że nie powinno by się robić tyle hałasu dla takiej błahostki. Nie żyjemy już, na szczęście, w czasach jasnowłosej Ewy i nie możemy, z ręką na sumieniu, być równie prymitywni i patriarchalni jak mieszkańcy arki. Nie jesteśmy dziewczynkami gotującymi się do pierwszej komunii; i kiedy zdarzy nam się grać w „koszyczek“, nie odpowiadamy: ciastko ze śmietaną.¹ Naiwność nasza jest dość sobie rozgarnięta, a dziewictwo od dawna fruwa z wiatrem. Są to dwie rzeczy, których niepodobna mieć dwa razy; co bądź byśmy czynili, nie dogonimy ich, nie ma bowiem w świecie nic, co by szybciej biegło niż dziewictwo, które poszło w diabły, i złudzenia, które uleczą.

Ostatecznie nie ma w tym może nic tak złego, wszechpoznanie jest może lepsze niż wszechnieświadomość. Zostawiam to zagadnienie uczeńszym ode mnie. Tyle jest pewne, iż świat przekroczył wiek, w którym można odgrywać skromność i wstydlivość; mam go za zbyt dojrzałego starucha, aby mógł bez śmieszności przybierać dziecięce i dziewicze minki.

Od czasu swego zameścia z cywilizacją społeczeństwo straciło prawo do naiwnych zawstydzeń. Są rumieńce, które przystoją jeszcze oblubienicy, kiedy wstępuje do małżeńskiego łoża, ale nie nazajutrz; młoda kobieta bowiem nie pamięta już młodej dziewczyny albo jeśli pamięta, jest to rzecz bardzo nieprzystojna, poważnie kompromitująca powagę małżonka.

¹ Molière, *Szkoła żon*.

Kiedy czytam przypadkowo któreś z owych pięknych kazań zastępujących dziś krytykę literacką, chwytają mnie niekiedy srogie wyrzuty i obawy, mnie, który mam na sumieniu parę wybryków, ot takich, jakie może sobie mieć do wyrzucenia młody człowiek, niezupełnie wy-
zuty z ognia i temperamentu.

W sąsiedztwie tych Bossuetów z „Kawiarni Paryskiej“, tych ojców Bourdaloue z balkonu Opery, tych Katonów po tyle od wiersza, którzy w tak piękny sposób gromią epokę, czuję się w istocie najstraszliwszym zbrodniarzem, jaki kiedykolwiek kalał powierzchnię ziemi; a mimo to, Bóg wie, spis moich grzechów — tak głównych, jak powszednich — wraz z koniecznymi interliniami i „szpekami“, mógłby nawet w rękach najsprytniejszego księgarza dać ledwie jeden lub dwa tomy *in octavo* dziennie, co jest bardzo niewiele dla kogoś, kto nie ma pretensji dostać się do rajy na tamtym świecie ani zdobyć nagrody Montyona, ani wianuszka premiiwanej cnoty na tym.

A kiedy znowuż pomyślę, iż widywałem pod stołem, a nawet gdzie indziej, sporą liczbę owych cerberów cnoty, wracam do lepszego mniemania o sobie. Jakie bądź miałbym przywary, oni mają inną, w moich oczach największą i najgorszą: obłudę.

Dobrze szukając znalazłoby się może jeszcze jedna maleńka przywara, ale ta jest tak wstrętna, że doprawdy nie śmiem jej wymienić. Zbliżcie się, a szepnę wam do ucha: „zawiść“.

Zawiść, nie co innego.

Ona to sunie i pełza poprzez te wszystkie ojcowskie kazania: mimo wszelkich starań, aby ją ukryć, od czasu do czasu ponad metaforami retoryki błysnie mała, płaska głowa tej zmił: widzisz ją, jak rozszczepionym językiem oblizuje wargi sine od jadu; słyszysz,

jak syczy po cichutku w cieniu jakiegoś zdradliwego epitetu.

Wiem, jak pretensjonalnym jest rościć sobie prawa do czyjejs zazdrości; to prawie równie obrzydliwe co fircyk chełpiący się zdobyczami. Nie jestem tak zarozumiała, aby mniemać, że mam wrogów i zawistnych; nie każdemu to szczęście jest dane i prawdopodobnie nieprędko się z nim spotkam: toteż będę mówił swobodnie i bez osobistej myśli, jak ktoś zupełnie nie interesowany.

Rzeczą pewną i łatwą do wykazania, w razie gdyby ktoś wątpił, jest wrodzona antypatia krytyka do poety — tego, który nie tworzy nic, do tego, który tworzy — szerszenia do pszczoły, wałacha do ogiera.

Zostajesz krytykiem dopiero wówczas, kiedy w twoich własnych oczach niezbitym faktem jest, że nie możesz być poetą. Nim się zgodziłeś na smutną rolę pilnowania płaszców i znaczenia punktów jak chłopiec przy bilardzie lub piłce, zalecałeś się długi czas do Muzy, próbowałeś uszczknąć jej dziewictwo, ale nie masz dość wigoru, tchu ci zabrakło: blady, wypruty z sił osunąłeś się do stóp świętej góry.

Pojmuję tę nienawiść. Bolesnie jest patrzeć, jak inny zasiada do uczyty, na którą ciebie nie zaproszono; jak kładzie się w łóżko z kobietą, która ciebie nie chciała. Żałuję z serca biednego eunucha zniewolonego przyglądać się wywczasom jego sułtańskiej mości.

Jest dopuszczony do najtajemniejszych głębin Ody, prowadzi sułtani do kąpieli, widzi, jak w srebrzystej wodzie basenów błyszczą te piękne ciała ociekające od pereł i gładsze od agatu; najbardziej ukryte wdzięki widne mu są bez osłonek. Nikt nie krępuje się wobec niego. To eunuch. Sułtan pieści faworytę w jego obecności, całuje ją w usta podobne do granatu. W istocie sy-

tuacja nad wyraz fałszywa, nieborak musi się czuć wielce zakłopotany na swoim stanowisku.

Toż samo z krytykiem, który widzi poetę, jak przechadza się w ogrodzie poezji z dziesięcioma pięknymi odaliskami, jak pieści je leniwie w cieniu zielonych laurow. Trudność, aby nie zbierał kamieni z gościńca, by ciskać je na twórcę i skaleczyć go zza muru, o ile zrzeczność dopisze.

Krytyk, który nic nie stworzył, jest nikczemnikiem. To coś jak ksiądz umizgujący się do żony świeckiego człowieka: ten nie może mu odplacić równą monetą ani też wyzwać go.

Sądzę, iż byłaby to historia równie ciekawa co historia Téglatphalazara lub Gemmagoga, wynalazcy spiczastych trzewików, gdyby kto przedstawił rozmaite sposoby obniżenia jakiegoś dzieła, począwszy od pierwszego miesiąca istnienia świata aż do naszych dni.

Jest tu dość materii na piętnaście lub szesnaście tomów *in folio*, ale ulitujemy się nad czytelnikiem i ograniczymy się do kilku wierszy, za które to dobrodziejstwo domagamy się wdzięczności więcej niż wiecznej. W epoce bardzo odległej i ginącej w mroku wieków (będzie już temu blisko trzy tygodnie) „romans średniowieczny“ kwitnął szczególnie w Paryżu i okolicy. Uherbiona zbroja cieszyła się wielkim wzięciem; nie pogardzono uczesaniem à la Hennin; szacowano pludry w szachownicę; kordelas był bez ceny; trzewik ze spiczastym nosem wielbiono na kształt fetysza. Wszędzie same jeno blanki, szkarpy, zwodzone mosty, witraże, katedry i obronne zamki; wszędzie jeno dworki i giermki, pазie i pachołcy, rybałty i zbiry; dworni rycerze i srogie kasztelany; rzeczy z pewnością najniewinniejsze w świecie i nie szkodzące nikomu.

Krytyk nie czekał drugiego romansu, aby rozpocząć dzieło podgryzania; zaraz po pierwszym, jaki się ukazał, owinał się we włosienicę i wysypał sobie wiadro popiołu na głowę; następnie przybierając głos donośny a żałośliwy jął wykrzykiwać:

— Znowu to średniowiecze, ciągle średniowiecze! Kto mnie uwolni od średniowiecza, które nie jest średniowieczem? Średniowiecze z tektury i gliny, które ze średniowiecza ma tylko nazwę. Och! Ci baronowie z żelaza, w zbrojach z żelaza, z sercami z żelaza, w pierśiach z żelaza! Och! Te katedry, te róże wciąż rozkwitłe i witraże w kwiaty, te granitowe koronki z listkami koniczyny wyciętymi z kamienia, ze zrębami, ornatami z kamienia haftowanymi jak welon oblubienicy, te świece, śpiewy, księży w lśniących kapach, lud na klęczkach, huczące organy, anioły trzepocące skrzydłami pod sklepieniem! Jak oni mi zepsuli moje średnie wieki, moje średnie wieki tak delikatne i barwne! Jak ztratili je pod warstwą grubego wapna! Cóż za krzycząca pstrokaczna! Ach! Wy nieuczenni bazgracze, którzy myślicie, że stworzyliście kolor przez to, że nasadziliście czerwone na niebieskim, białe na czarnym i zielone na żółtym, dostrzeżliście ze średniowiecza jeno lupinę, nie odgadliście duszy średniowiecza, krew nie krąży pod skórą waszych manekinów, nie ma serca pod stalowymi koszulkami, nie ma nóg w trykotowych pludrach, nie ma brzucha ani piersi pod uherbionymi sukniami: to kostiumy mające kształt człowieka, ot i wszystko. Zatem precz ze średniowieczem takim, jakie nam stworzyli literaci (padło wielkie słowo: „literaci“)! Średniowiecze nie mówi nam dziś nic, chcemy czego innego.

A publiczność widząc, iż felietoniści czekają na średniowiecze, zapłonęła namiętnością do biednego średniowiecza, które tamci zamierzali ubić od jednego razu.

Średnie wieki wspomagane psioczeniem dzienników zalewają wszystko: dramy, melodramy, romanse, nowele, poezje, powstały nawet wodewile średniowieczne, a „Momus“ huczy od feudalnych kupletów.

Obok romansu średniowiecznego kwitnął „romans-ścierwo“, rodzaj nader przyjemny, obficie spożywany przez modnisie o słabych nerwach i przez zblazowane kucharki.

Felietoniści zbiegli się szybko, zwabieni zapachem, niby kruki rozszarpali dziobami i mściwie wydali na śmierć ten rodzaj romansu, który niczego nie pragnął, jak tylko kwitnąć i gnić spokojnie na zatłuszczonych półkach czytelni publicznych. Czegóż nie nagadali? Czego nie wypisali? „Literatura kostnicy i kaźni, halucynacje kata, koszmary pijanego rzeźnika i dozorczy więziennego w malignie!“ Dawali łagodnie do zrozumienia, że autorowie to mordercy i wampiry, że nabrali zdrożnego przyzwyczajenia zabijania własnych ojców i matek, że pijają krew z czaszek, używają piszczeli miast widelców i krają chleb za pomocą gilotyny.

A mimo to wiedzieli lepiej niż ktokolwiek, jako że często spożywali z nimi śniadanie, że autorowie tych przemiłych mordowni to chłopcy z dobrych rodzin, nad wyraz poczciwi i dobrze wychowani, biało urekawiczeni, dystygnowanie krótkowzroczni, żywiący się chętniej befsztykiem niż kotлетem z człowieka i pijący częściej wino bordeaux niż krew młodej dziewczyny lub nowo narodzonego dziecka. Wiedzieli doskonale, jako że oglądali i mieli w rękach ich rękopisy, że są pisane doskonałym atramentem na angielskim papierze, nie zaś krwią z gilotyny na skórze żywcem obdartego chrześcijanina.

Ale co bądź mówili i pisali, publiczność szalała za padliną i kostnica podobała się jej lepiej niż buduar;

czytelnik łapał się jedynie na haczyk opatrzony małym, już siniejącym trupkiem. Rzecz zrozumiała: przywiąż różę do haczyka, nie złapiesz ani płotki; przyczep robaka albo kawałek starego sera, karpie, bolenie, okonie, węgorze będą wyskakiwać trzy stopy nad wodę, aby go pochwyć. Ludzie nie są tak odmienni od ryb, jak świat chce przypuszczać.

Można by rzec, iż dziennikarze stali się kwakrami, braminami, pitagorejczykami lub zgoła bykami, taki ich ogarnął nagły wstręt do czerwonego koloru i krwi. Nigdy nie widzieliśmy ich w stanie takiego roztkliwienia, tak miękkich; istna śmietanka, serwatka. Uznają wyłącznie dwa kolory, błękitny lub seledynowy. Różowy tolerują jedynie: gdyby publiczność się zgodziła, wysłaliby szpinak na brzegi Lignon, tuż obok owieczek Amarylidy. Zmienili czarny frak na gołąbkową kurteczkę Celadona lub Sylwandra, przybrali swoje gęsie pióra różowymi pomponikami i wstążeczkami, niby kijek pasterski. Rozpuścili dziecięco na wiatr kędziory i stworzyli sobie dziewictwo wedle recepty Marion Delorme¹, z równym jak ona powodzeniem.

Stosowali do literatury artykuł dekalogu: „Nie zabijaj.“

Nie wolno było sobie pozwolić na najmniejszy mord dramatyczny, a piąty akt stał się wręcz niemożliwy.

Sztylet wydawał się im przesadny, trucizna potworna, siekiera czymś bez nazwy! Pragnęliby, aby bohaterowie dramatyczni żyli do lat Melchizedecha; mimo iż uznanym jest od niepamiętnych czasów, że celem wszelkiej tragedii jest zgładzić w ostatniej scenie Bogu ducha winnego bohatera, jak celem wszelkiej komedii sparzyć matrymonialnie dwoje ciemiegów reprezentujących pa-

¹ Bohaterka dramatu Wiktora Hugo.

rę kochanków, z której to pary każda połowa liczy lat około sześćdziesięciu.

W tym czasie rzuciłem w ogień (sporządziwszy poprzednio odpis, jak jest w zwyczaju) dwa wspaniałe dramaty średniowieczne, jeden wierszem, drugi prozą, gdzie bohaterów szarpano na sztuki i gotowano na oczach widzów, co byłoby, zaiste, wcale ucieszne i dość nowe.

Aby się dostroić do ich pojęć, skomponowałem później antyczną tragedię w pięciu aktach nazwaną *Heliogabal*, której bohater topi się w miejscu ustępowym: sytuacja nader oryginalna i mająca tę korzyść, iż daje sposobność wprowadzenia dekoracji jeszcze w teatrze nie widzianej. Sporządziłem również nowożytny dramat nieskończenie wyższy niż *Antony*¹ lub *Artur*, czyli *Fatalny człowiek*, gdzie idea opatrnościowa zjawia się w postaci sztrasburskiego pasztetu z gęsich wątróbek, który bohater zjada do ostatniej kruszyny dokonawszy wprzód liczących zgwałceń, co dołączone do wyrzutów sumienia przyprawia go o szkaradną i zgoła śmiertelną niestrawność. Zakończenie co się zowie moralne, dowodzące, że „Bóg jest sprawiedliwy“ i że występki jest zawsze ukarany, a cnota nagrodzona.

Co się tyczy rodzaju potwornego, wiecie, jak się z nim obeszli, jak urządzili Hana Islandzkiego, tego ludożercę, Haribrahę-obiego, Quasimoda-dzwonnika i Trybuleta², który jest tylko garbaty, całą tę nadzwyczaj ruchliwą rodzinę, wszystkie te gigantyczne plugastwa, jakim mój drogi sąsiad każe wybijać hołubce poprzez dziewicze lasy i katedry swoich romansów. Ani wielkie rysy à la Michał Anioł, ani osobliwości godne Callota, ani efekty światła i cieni na sposób Goyi, nic nie zdołało znaleźć

¹ Głośny dramat Aleksandra Dumasa (ojca).

² Postacie z utworów Wiktora Hugo.

łaski w ich oczach; odesłali go do ód, kiedy popełniał romanse; do romansów, kiedy pisał dramaty; pospolita taktyka dziennikarzy, którzy zawsze przekładają to, co się robiło niegdyś, nad to, co się napisało teraz. Z tym wszystkim — szczęśliwy człowiek: nawet felietoniści uznają celność jego we wszystkich dziełach, z wyjątkiem oczywiście tego, z którego zdają sprawę; wystarczyłoby mu napisać traktat teologiczny albo książkę kucharską, aby uznali, iż jego dramaty są wspaniałe!

Co się tyczy romansu miłosnego, romansu żaru i namiętności, który za ojca ma Niemca Wertera, a za matkę Francuzkę Manon Lescaut, dotknęliśmy na początku tej przedmowy w kilku słowach świerzb moralnego, który się doń rozpaczliwie przyczepił pod pozorem religii i obyczajów. Wszy krytyczne są jak wszy pospolite: opuszczają trupy, aby się czepiać żywych. Z trupa romansu średniowiecza krytycy przenieśli się na ciało tego tworu, który ma twardą skórę i może snadniej pokruszyć im zęby.

Mniemamy, mimo całego szacunku dla nowożytnych apostołów, że autorowie owych romansów zwanych „niemoralnymi“, nie będąc w tym stopniu żonaci co cnotliwi dziennikarze, mają dość powszechnie matkę, że większość z nich posiada siostry i jest opatrzona obfitą rodziną niewieścią; ale matki ich i siostry nie czytają romansów, nawet niemoralnych; szyją, haftują i zajmują się domem. Pończochy ich, jak by powiedział pan Planard, są nieskazitelnie białe; możecie spojrzeć na ich nóżki, nie są „niebieskie“, i poczciwy Chryzał, on, który tak nienawdził uczonych białogłów, postawiłby je za przykład przemądrej Filamincie¹.

Co do „małżonek“ tych panów (skoro ich mają taką

¹ Postacie ze sztuki Moliera *Uczone białogłowy*.

mnożność), otóż, mimo całej dziewiczości ich mężów, sądzę, że istnieją pewne rzeczy, które powinny by znać. Hm, w gruncie, być może, iż panowie i władcy nie otwarli im nazbyt szerokich horyzontów w... Wówczas, rozumiem, że zależy im na tym, aby je utrzymać w tej szacownej i błogosławionej nieświadomości. Bóg jest wielki, a Mahomet jego prorok! Kobiety są ciekawe; dałoby niebo i moralność, aby zaspokajały swą ciekawość w sposób bardziej prawomyślny niż Ewa, ich prababka, i nie zadawały mężowi pytań!

Co do córek, to jeśli były na pensji, nie widzę, czego nowego mogłyby się nauczyć z tych książek.

Równie niedorzeczne jest mówić, że ktoś jest pijakiem, ponieważ opisał orgię, rozpustnikiem, ponieważ kreśli obraz rozpusty, co twierdzić, iż ktoś jest cnotliwy, bo napisał książkę o moralności: co dnia widuje się rzeczy wprost przeciwne. To dana osobistość mówi, nie autor; z tego, że bohater jest ateuszem, nie wynika, iż ateuszem jest sam autor: każe zbójcom zachowywać się jak zbójce, a nie jest sam zbójem przez to samo. Biorąc w ten sposób, trzeba by zgilotynować Szekspira, Corneille'a i wszystkich tragików; popełnili więcej mordów niż Mandryn i Cartouche: nie uczyniono tego wszakże i nie sądzę nawet, aby uczyniono tak rychło, mimo postępów krytyki na drodze moralności i cnoty. Jest to jedna z manii owych bezmózgich gryzpiórków; zawsze podstawić autora pod dzieło i chwycić się wybieżek osobistych, aby tym sposobem dać pieprzyk skandalu swoim nędznym ramotom, o których wiedzą, iż nikt by ich nie czytał, gdyby zawierały jedynie osobiste poglądy krytyka.

Nie pojmujemy zgoła, do czego zmierzają wszystkie te wrzaski, na co te gniewy i szczekania i co popycha tych panów Geoffroy w kieszonkowym wydaniu, aby

z siebie robić donkiszotów moralności i jak istni policjanci literatury chwycić za kark i batożyć w imię cnoty wszelką myśl, która przechadza się po książce z czepeczkiem nieco na bakier lub też spódniczką nazbyt podkasaną. To bardzo osobliwe!

Epoka nasza, co bądź by kto mówił, jest niemoralna (jeżeli w ogóle to słowo znaczy cośkolwiek, o czym wątpimy): nie żądamy innych dowodów jak tylko ilość niemoralnych książek, jakie wydaje, oraz ich powodzenie. Książki idą w ślad obyczajów, nie odwrotnie. Regencja stworzyła Crébillona, nie Crébillon Regencję. Pasterki Bouchera były uróżowane i rozmamane, ponieważ margrabinki były uróżowane i rozmamane. Obraz tworzy się z modelu, nie model z obrazu. Nie wiem, kto powiedział, nie wiem gdzie, że literatura i sztuka mają wpływ na obyczaje. Ktokolwiek to był, był to niewątpliwie wielki głupiec. To tak jakby kto powiedział: zielony groszek sprowadza wiosnę; przeciwnie, groszek rośnie dlatego, że jest wiosna, a wiśnie dlatego, że lato. Drzewa wydają owoce, nie owoce drzewa — to pewna: prawo wieczyste i niezmienne w swej różnorodności; wieki następują po sobie, a każdy wydaje swój owoc, różny niż owoc wieku poprzedniego; książki są owocami obyczajów.

Obok dziennikarzy moralistów, pod tym deszczem kazań jak pod letnim deszczem w parku, wyrosła między deskami saintsimonicznej budy teoria małych grzybków nowego, dość osobliwego rodzaju, któremu poświęcimy tu kilka uwag.

Są to krytycy utylitarni. Biedni ludzie, którzy z przyczyny krótkości nosa nie mogli nawdziać okularów, a którzy mimo to nie widzą dalej niż jego koniec.

Kiedy autor rzuci im na biurko jakiś tomik, powieść czy poezję, panowie ci przeginają się niedbale w tył

i kołysząc się z ważną miną, starając się utrzymać w równowadze na tylnych nogach fotela, nadymają się i mówią:

„Na co służy ta książka? W jaki sposób można ją dostosować do umoralnienia i dobrobytu najliczniejszej i najbiedniejszej klasy? Jak to! Ani słowa o potrzebach społeczeństwa, nic cywilizującego, postępowego! Jak to! Miast robić syntezę ludzkości i śledzić poprzez wypadki historii fazy odradzającej i opatrnościowej idei, autor śmie układać poezje i romanse, które nie prowadzą do niczego i nie posuwają pokoleń naprzód? Jak można w obliczu tak poważnych zagadnień zajmować się formą, stylem, rymem? Co nam styl i rym, i forma? Właśnie tu o to chodzi! (Biedne lisy, winogrona nadto im zielone!) Społeczeństwo cierpi, przebywa rozdarcie wewnętrzne (czytaj: nikt nie chce abonować dzienników „użytecznych“). Zadaniem poety jest szukać przyczyn cierpienia i leczyć je. Środki znajdzie sympatyzując sercem i duszą z ludzkością. (Poeci-filantropi! To w istocie coś osobliwego i uroczonego!) Czekamy takiego poety, wzywamy go najgoręcej. Skoro się pojawi, jemu niech święcą się oklaski tłumu, jemu palmy, jemu wieńce, jemu Prytaneum...“

Z całej duszy; ale jako iż pragniemy, aby czytelnik wytrwał rozbudzony do końca tej błogosławionej przedmowy, nie będziemy ciągnąć dalej tej wiernej imitacji stylu „użytecznego“, który z natury swojej posiada własności usypiające i mógłby z korzyścią zastąpić laudanum i przemówienia Akademii.

Nie, głupcy, nie, kretyny, wolonoście od urodzenia, książka nie jest zupką na bulionie! powieść nie jest parą butów ani sonet lewatywą; dramat nie jest koleją żelazną: wszystko rzeczy potężnie cywilizacyjne i popychające ludzkość na drodze postępu.

Na bebechy wszystkich papieży minionych, obecnych i przyszlých, nie, i dwieście tysięcy razy nie!

Nie robi się włóczkowej szlafmicy z metonimii, nie da się wzuć porównania zamiast pantofla; nie można, na nieszczęście, wdziąć na żołądek pary pstrokatych rymów zamiast kamizelki. Mam głębokie przekonanie, że człowiek ubrany w strofę, antystrofę i epodę nie lepiej by wyglądał niż owa żona cynika, która zadowalała się samą cnotą w miejsce koszuli i przechadzała się goła, jak ją matka porodziła, wedle tego, co mówi historia.

Ludzie, którzy mają pretensje do ekonomii i pragną przebudować społeczeństwo od fundamentów, wyglądają serio podobne brednie.

Romans ma dwa pożytki: jeden materialny, drugi spirytualny, jeśli można użyć podobnego wyrażenia o romansie. Materialny to przede wszystkim tych kilka tysięcy franków, które wpływają do kieszeni autora i obciążają go lubym balastem; dla księgarza to rasowy konik, który parska i wyrywa unosząc zgrabny kabriolecik; dla fabrykanta papieru to jedna buda więcej na jakimś strumieniu, często sposób zepsucia ładnego krajobrazu; dla drukarzy — kilka ton kampsesu, aby raz na tydzień wypoliturować sobie gardziółko; dla wypożyczalni książek — kupa miedziaków bardzo proletariacko spleśniałych oraz znaczna ilość tłuszczu, który, gdyby go należycie zebrali i zużytkowali, uczyniłby zbytym połów wielorybów. Pożytek spirytualny jest ten, iż podczas gdy ktoś czyta romanse, śpi i nie czyta użytecznych, cnotliwych i postępowych dzienników lub innych tym podobnych niestrawnych i ogłupiających ziółek.

I niech kto potem gada, że romanse nie przyczyniają się do cywilizacji. Nie będę mówił o tabacznikach, ko-

rzennikach i kasztaniarzach, którzy z zainteresowaniem patrzą na tę gałąź literatury, jako że papier, którym się ona posługuje, jest na ogół lepszy niż papier gazetowy.

W istocie można się uśmieć na kwadratową stopę słysząc rozprawy panów utylitarystów republikańskich lub saint-simonicznych. Chciałbym najpierw dobrze wiedzieć, co ma ściśle oznaczać ten nadęty rzeczownik, którym szpikują co dzień pustkę swoich szpałt i który służy im za *schibboleth* i za sakramentalny termin. „Użyteczność“: co to za słowo i do czego się stosuje?

Są dwa rodzaje użyteczności i znaczenie tego słowa jest zawsze względne. To, co jest użyteczne dla jednego, nie jest dla drugiego. Ty jesteś szewcem, ja poetą. Użytecznym jest dla mnie, aby pierwszy wiersz rymował się z drugim. Słownik rymów jest mi wielce użyteczny; tobie przy łątaniu starych butów nie zda się na nic, słuszność zaś każe przyznać, iż, nawzajem, dratwa nie na wiele by mi się przydała do sporządzenia ody. Zarzuci mi pan w dalszym ciągu, że szewc stoi o wiele wyżej od poety i że łatwiej można się obejść bez poety niż bez szewca. Nie mając zamiaru poniżyć dostojnego rzemiosła, które czczę na równi z profesją konstytucyjnego monarchy, przyznam się pokornie, że wolałbym raczej trzewik rozpruty niż wiersz źle zrymowany, i chętniej bym się obszedł bez butów niż bez poematów. Nie wychodząc prawie nigdy z domu i poruszając się swobodnie na głowie niż na nogach zużywam mniej obuwia niż cnotliwy republikanin, który biega nieustannie od jednego do drugiego ministerium, aby złowić posadkę.

Wiem, że są ludzie, którzy wolą młyny niż kościoły, chleb ciała niż chleb duszy. Tym nie mam nic do powiedzenia. Zasługują, aby byli ekonomistami na tym świecie, a także na drugim.

Czy jest coś bezwzględnie użytecznego na ziemi i w życiu? Przede wszystkim jest bardzo mało użyteczne, abyśmy byli na ziemi i żyli na niej. Wyzywam najuczeńszego z całej zgrai, aby powiedział, na co się zdamy, jeżeli nie na to, aby abonować „Constitutionnel“ lub inny jakikolwiek dziennik.

Następnie przyjąwszy *a priori* użyteczność istnienia, jakie są rzeczy istotnie użyteczne dla jego podtrzymania? Zupa i kawałek mięsa dwa razy dziennie — to wszystko, co trzeba, aby sobie napełnić brzuch w ścisłym znaczeniu słowa. Człowiek, któremu trumna sześć stóp długa, a dwie szeroka wystarcza aż nadto po śmierci, nie potrzebuje za życia o wiele więcej miejsca. Próżny sześcian o wymiarach siedmiu do ośmiu stóp w każdym kierunku, z dziurą dla oddychania, jedna komórka w plastrze roju — nie trzeba więcej, aby mu dać mieszkanie i zapobiec, by deszcz nie lał mu się za kołnierz. Przyzwoicie zawinięta kołdra ochroni go równie dobrze, ba, lepiej, od zimna co najwytworniejszy, najlepiej skrojony frak od Stauba.

Mając to, może „istnieć“ w ścisłym znaczeniu słowa. Powiadają słusznie, iż można żyć za dwadzieścia pięć su dziennie; ale nie dać komuś umrzeć, nie znaczy dać mu żyć. Nie widzę, w czym miasto zorganizowane „utilitarnie“ miałoby być przyjemniejsze do mieszkania niż cmentarz Père-Lachaise.

Nic z tego, co jest piękne, nie jest nieodzowne. Można by usunąć kwiaty, świat nie ucierpiałby na tym materialnie: ale któż chciałby, aby znikły z ziemi kwiaty? Raczej wyrzekłbym się kartofli niż róż i sądzę, iż na świecie znajdzie się ledwie jeden utylitarysta zdolny wyrwać grządkę tulipanów, aby zasadzić na niej kapustę.

Na co służy piękność kobiet? Byle kobieta była z punktu widzenia lekarskiego dobrze ukształtowana

i zdolna rodzić, zawsze będzie dość dobrą dla panów ekonomistów.

Na co muzyka? Malarstwo? Któż byłby na tyle szalony, aby wyżej stawiać Mozarta niż pana Carrel, a Michała Anioła niż wynalazcę musztardy?

Prawdziwie piękne jest jedynie to, co nie może przysiąc się na nic; wszystko, co użyteczne, jest brzydkie, bo jest wyrazem jakiejś potrzeby, a potrzeby ludzi są plugawe i wstrętne jak ich biedna i ułomna natura. Najbardziej użytecznym miejscem w domu jest wychodek. Ja, z przeproszeniem tych panów, należę do ludzi, dla których zbyteczne jest niezbędnym; cenię rzeczy i ludzi w odwrotnym stosunku do usług, jakie mi oddają. Od pewnej wazy, która mi służy, wolę wazon chiński usiany smokami i mandarynami, który nie służy mi do niczego; z moich zaś talentów najwyżej cenię talent nieodgadywania logogryfów i szarad. Wyrzekłbym się z radością praw obywatela i Francuza, aby w zamian oglądać autentyczny obraz Rafaela lub piękną kobietę naga: księżnę Borghese, na przykład, kiedy pozowała Canovie, lub Julię Grisi, kiedy wchodzi do kąpieli. Co do mnie, zgodziłbym się chętnie na powrót tego ludźcy, Karola X, gdyby mi przywiózł ze swego zamku w Czechach koszyk tokaju albo johanisbergera; i uznałbym, że prawa wyborcze, jakie nam przyznaje świetna konstytucja, są dość szerokie, gdyby niektóre ulice były bardziej szerokie, a inne rzeczy mniej. Mimo że nie jestem tak zwanym „miłośnikiem“ muzyki, wolę hałas lichych skrzypceczek i bębenków niż melodię dzwoneczka pana prezydenta. Sprzedałbym pludry, aby kupić sobie pierścionek, a chleb, aby mieć konfitury. Zatrudnieniem najprzystojniejszym dla uspołecznionego człowieka wydaje mi się nie robić nic lub też palić analitycznie fajkę lub cygaro. Cenię również tych, któ-

rzy dobrze grają w kręgle; także tych, którzy dobrze robią wiersze. Widzicie, że zasady utylitarne wielce są ode mnie odległe i że nigdy nie będę redaktorem cnotliwego dziennika, chyba żebym się nawrócił, co byłoby dosyć pocieszne.

Zamiast fundować nagrodę Montyona dla cnoty wolałbym raczej dać, jak Sardanapal (ów wielki a niezrozumiany filozof), pokazać premię temu, kto by wynalazł jaką nową przyjemność: rozkosz wydaje mi się celem życia i jedyną na świecie rzeczą użyteczną. Bóg tak chciał, on, który stworzył kobiety, zapachy, światło, ładne kwiaty, dobre wina, rasowe konie, charcice i koty angora; on, który powiedział aniołom nie: „Bądźcie cnotliwi“, ale: „Kochajcie“, i który dał nam usta wrażliwsze niż resztę skóry, abyśmy całowali kobiety, oczy wzniesione ku górze, aby widzieć światło, subtelny węch, aby wdychać duszę kwiatów, sprężyste uda, aby ścisnąć boki ogierów i pędzić szybko jak myśl, bez kolei żelaznej i parowego kotła, ręce delikatne, aby nimi wodzić po smukłej głowie charcicy, po aksamitnym grzbiecie kota i po gładkim ramieniu płochych istotek, który wreszcie użyczył nam jednym tego potrójnego i chlubnego przywileju, aby móc pić bez pragnienia, krzesać ogień i kochać o każdej porze roku, co nas odróżnia od zwierząt o wiele lepiej niż zwyczaj czytania dzienników i wysmażania konstytucji.

Mój Boże! Cóż to za brednia — to rzekome „doskonalenie się“ rodzaju ludzkiego, którym kotłują nam uszy! Powiedziałyby kto, w istocie, że człowiek to machina zdolna do udoskonalenia i że dzięki lepiej zązębnemu kółku, dokładniej umieszczonej przeciwwadze będzie mógł funkcjonować wygodniej i łatwiej. Kiedy potrafią dać człowiekowi podwójny żołądek, aby mógł przeżuwać jak wół, oczy z drugiej strony głowy, aby

mógł widzieć, jak Janus, tych, co mu pokazują za plecami język, i oglądać własne siedzenie w pozycji mniej wymuszonej niż poza *Wenery Pięknotyłej* w Atenach, kiedy mu umocują skrzydła u łopatek, aby nie musiał płacić sześć su za omnibus, kiedy mu stworzą jaki nowy organ, brawo! Słowo „doskonalenie“ zacznie wówczas coś oznaczać.

Od czasu tych wszystkich udoskonalień cóż zrobiono, czego by nie robiono równie dobrze i lepiej przed popotem?

Czy dowiedziano tego, aby pić więcej, niż pito w czasach niewiedzy i barbarzyństwa (stary styl)? Aleksander, dwuznacznym przyjaciel pięknego Efestiona, trąbił wcale niezgorzej, mimo że nie było za jego czasu *Dziennika użytecznych wiadomości*, a nie wiem, który utylitarysta zdołałby, pod grozą natychmiastowej puchliny winnej, wysuszyć puchar, który on nazywał czarą Herkulesa.

Marszałek de Bassompierre, który wypróżnił własny but z cholewą za zdrowie trzynastu kantonów, wydaje mi się w swoim rodzaju osobiście godny szacunku i trudny do udoskonalenia.

Który ekonomista rozszerzy nam żołądek w ten sposób, aby pomieścił tyle befsztyków co nieboszczyk Milton Krotończyk, który zjadał wołu? Jadłospis kawiarni angielskiej Vefaura lub innej dowolnej sławy kulinarnej wydaje mi się bardzo chudy i ekonomiczny w porównaniu z kartą uczyty Trymalchiona. Przy jakim stole podają obecnie maciorę z dwanaściorgiem warchlaczków na jednym półmisku? Kto jadł mureny i minogi tuczone mięsem ludzkim? Czy myślicie, w istocie, że Brillat-Savarin¹ udoskonił Apicjusza? Czy może

¹ Autor *Fizjologii smaku*.

u Cheveta ów gruby traktiernik Witeliusz zdołałby napełnić słynny puklerz Minerwy mózdkami pawii i bażantów, językami flamingów i wątróbkami skarrusów? Ostrygi w „Rocher de Cancalle“¹ są w istocie czymś bardzo wyszukany w porównaniu do ostryg Lukryna, dla których sporządzono umyślne morze! Sekretne domki markizów Regencji są jeno nędznymi norami, jeśli się je porówna do will patrycjuszów rzymskich w Bajach, Capri i Tyburze. Cyklopie wspaniałości tych wielkich rozkoszników, którzy wznosili wiecznotrwałe budowle dla uciech jednego dnia, czyż nie powinny by nam kazać upaść na płask przed antycznym geniuszem i wymazać na zawsze ze słowników słowo „doskonalenie“?

Czy wynaleziono bodaj jeden grzech główny więcej? Jest ich na nieszczęście siedem, jak wprzód, co jak na ilość upadków sprawiedliwego w ciągu jednego dnia jest bardzo niewiele. Nie sędzę nawet, mimo wszystko, aby po całym wieku postępu jakkolwiek kochanek zdolny był wskrzesić trzynastą pracę Herkulesa. Czy można bodaj jeden raz więcej ofiarować się na ołtarzu swego bóstwa niż za czasu Salomona? Wielu bardzo znamienitych uczonych i nader czcigodnych dam podtrzymuje nawet wręcz przeciwne mniemanie i twierdzą, iż zdatność miłosna degeneruje. Tam do licha! Cóż tedy bajecie o postępie? Wiem dobrze: powiecie mi, że mamy Izbę wyższą i niższą, że jest nadzieja, iż niebawem wszyscy będą wyborcami i że liczba przedstawicieli ludu podwoi się albo potroi. Czy uważacie, że nie dosyć urąga się językowi francuskiemu na trybunie narodowej i że nie dosyć jest tych panów jak na to liche piwo, które warzą? Nie rozumiem wcale użyteczności

¹ Modna współczesna restauracja paryska.

tego, aby zamykać dwustu lub trzystu prowincjonalnych kołtunów w drewnianym baraku, z sufitem malowanym przez pana Fragonard, i kazać im pichcić ileś tam głupich lub okrutnych paragrafów! Cóż nam znaczy, czy rządzi pałasz, kropidło czy parasol¹! Zawszeć to kij i dziwię się, że ludzie idący z postępowym trawią czas na dysputowaniu nad wyborem pałki, która ma im łaskotać plecy, gdy o wiele postępowszym i tańszym byłoby połamać ją i rzucić do wszystkich diabłów.

Jedyny człowiek wśród nas, który ma zdrowy rozsądek, to szaleniec, wielki geniusz, idiota, boski poeta o wiele wyższy nad Lamartine'a, Wiktora Hugo i Byrona, to Karol Fourier ze swymi falansterami. On sam jeden łączy ich wszystkich: on jeden miał logikę i miał odwagę wyciągnąć konsekwencje aż do końca. Twierdzi bez śladu wahania, że ludzie będą mieli z czasem ogon na piętnaście stóp długi z okiem na końcu, co niewątpliwie stanowi postęp i pozwala wykonywać mnóstwo pięknych rzeczy niepodobnych wprzód, jak na przykład mordować słonie bez wystrzału, kołysać się na drzewach bez huśtawki równie wygodnie jak najzręczniejszy szympan, obchodzić się bez parasola i umbrelki, rozwijając ogon nad głową w kształcie pióropusza, jak czynią wiewiórki dające sobie doskonale radę bez deszczochronu, nie licząc innych prerogatyw zbyt długich do wyliczenia. Wielu falansterczyków twierdzi nawet, że mają już maleńki, ot tyci ogonek, który gotów jest przy pierwszej okazji urosnąć, byle Bóg pozwolił życia.

Karol Fourier wynalazł tyleż gatunków zwierząt co Jerzy Cuvier, wielki naturalista. Wynalazł konie, które

¹ Parasol uchodził za satyryczny symbol monarszy mieszczańskiego panowania Ludwika Filipa.

będą trzy razy większe od słoni, psy wielkie jak tygrysy; ryby zdolne nasycić więcej ludzi niż owe trzy ryby Chrystusa, które wolteriańskie niedowiarki uważają za prima aprilis, ja zaś za wspaniałą parabolę. Zbudował miasta, przy których Rzym, Babilon i Tyr są jeno krecią norą, spiętrzył wieżę Babel jedną na drugiej i wywiódł pod chmury spirale bardziej nieskończone niż na rycinach Johna Martin; wymyślił nie wiem ile stylów architektury i nowych kombinacji; stworzył projekt teatru, który wydałby się monumentalny nawet Rzymianom, oraz ułożył jadłospis obiadu, który Lucjusz albo Nomentanus uznaliby może za wystarczający na śniadanko w ścisłym kółku. Przrzeka stworzyć nowe przyjemności, rozwijać organy i zmysły; ma sprawić, iż kobiety będą piękniejsze i bardziej rozkoszne, mężczyźni wytrzymalsi i ognistsi; ubezpiecza was od dzieci i podejmuje się ograniczyć liczbę mieszkańców świata w ten sposób, aby każdy miał pod dostatkiem miejsca; rzecz bardziej, zaiste, rozsądna niż zachęcać nędzarzy, aby płodzili nowych nędzarzy, z prawem bombardowania ich na ulicach, kiedy się zanadto wyroją, i ciskania im kulek karabinowych miast chleba.

Postęp możebny jest tylko w ten sposób. Wszystko inne jest gorzkim szyderstwem, niedowcipnym błazentwem, które nie zdoła wziąć na lep nawet najgłępszego ciemięgi.

Falanster stanowi istotnie postęp od opactwa Telemy¹ i spycha ostatecznie raj ziemski w poczet zupełnie przestarzałych i niemodnych rzeczy. Jedynie *Tysiąc i jedna noc* i *Powiatki* pani d'Aulnoy mogą walczyć zwycięsko z falansterem. Co za płodność! Co za wynalazczość! Jest czym cudownie zaprowidować trzy tysiące romantycz-

¹ Rabelais, *Gargantua*.

nych lub klasycznych furgonów; nasi wierszorobowie, akademicy czy nie, są bardzo mizernymi trubadurami, jeśli się ich przyrówna do pana Karola Fourier, wynalazcy tych niezrównanych atrakcji. • Ba! Powiadacie, idziemy do postępu! Gdyby jutro nowy wulkan rozwarł paszczę na Montmartre i pokrył Paryż całunem z popiołu i grobowcem z lawy, jak niegdyś uczynił Wezuwiusz ze Stabią, Pompeją i Herkulanum, i gdyby za kilka tysięcy lat ówczesni antykwariusze zaczęli kopać i wykopali trupa martwego miasta, jaki monument zostałby, powiedzcie, aby świadczyć o wspaniałości wielkiej nieboszczki, gotyckiej Notre-Dame? Ładne mieliby do prawdy pojęcie o naszej sztuce wygrzebując Tuilerie odświeżone przez pana Fontaine! Posągi z mostu Ludwika XV, przeniesione do ówczesnych muzeów, piękne uczyniłyby wrażenie! I gdyby nie obrazy dawnych mistrzów i rzeźby starożytności lub Odrodzenia stłoczone w galerii Luwru, tej długiej bezkształtnej kiszce, gdyby nie sufit Ingres'a, który by nie pozwolił mniemać, iż Paryż był jeno koczowiskiem barbarzyńców, wioską Welszów lub Topinamburów, wszystko inne dobyte z tych poszukiwań byłoby czymś bardzo osobliwym! Pałasiki gwardzistów narodowych i kaski straży ogniowej, talary wybijane banalnym stemplem, oto co znaleziono by miast pięknych, troskliwie cyzelowanych broni, jakie średnie wieki zostawiły w swoich wieżach i grobowcach; w miejsce tych medali, które wypełniają wazy etruskie i wyścielają fundamenty rzymskich budowli. Co do naszych nędznych mebli okładanych blazką drzewa, co do tych mizernych skrzyń, tak nagich, brzydkich, lichych, zwanych komodami lub sekretarzami, wszystkich tych bezkształtnych i nietrwałych sprzętów, sądzę, iż czas miałby na tyle litości, aby je zniweczyć do najdrobniejszego śladu.

Jednego pięknego razu przysłała nam do głowy fantazja, aby stworzyć wspaniałą i monumentalną budowlę. Przede wszystkim musieliśmy pożyczyć planu u starych Rzymian; nim jeszcze ukończono dzieło, nasz Pantheon ugiął się na nogach niby rachityczne dziecko i zachwiał się jak pijany inwalida, tak iż trzeba było podać mu kule z kamienia, inaczej runąłby żałośnie na oczach całego świata, jak długi, i dostarczyłby narodom śmiechu na więcej niż sto lat. Chcieliśmy wznieść na jednym z placów obelisk; trzeba było ściągnąć go w Luksorze i dwa lata trwało, zanim przywieźliśmy go tutaj! Stary Egipt obsadzał gościńce obeliskami jak my topolami; nosił ich wiązki całe pod pachą jak ogrodnik wiązki szparagów; wycinał monolity w zboczu granitowych gór łatwiej niż my wykałaczką! Kilka wieków temu świat miał Rafaela, miał Michała Anioła; obecnie ma pana Delaroche, a wszystko dlatego, że postępujemy naprzód! Chwalicie Operę; dziesięć oper takich jak wasza tańczyło sarabandę w rzymskim cyrku. Sam pan Martin nawet, ze swoim oswojonym tygrysem i lwem podgrycznym i sennym niby abonent „Gazety“, jest czymś bardzo nędznym wobec gladiatora starożytności. Wasze benefisowe przedstawienia trwające do drugiej rano; i cóż to jest, kiedy pomyśleć o tych igrzyskach, które trwały sto dni, o widowiskach, gdzie prawdziwe okręty walczyły naprawdę na prawdziwym morzu; gdzie tysiące ludzi rąbało się sumiennie na sztuki — zblednij, bohaterski Franconi! — gdzie po ustąpieniu morza jawiła się pustynia pełna tygrysów i ryczących lwów, straszliwych komparsów występujących tylko raz; gdzie rolę bohatera wypełniał jakiś krzepki dacki lub pannoński atleta, którego nieraz daremnie wywoływałoby się po skończeniu sztuki; gdzie heroiną była piękna i łakoma numidyjska lwica, wyposzczona od trzech dni?

Czy słoń tańczący na linie nie zdaje się wam czymś więcej od panny Georges? Czy sądzicie, że panna Taglioni tańczy lepiej niż Arbuscula, a Perrot lepiej niż Batillus? Jestem przekonany, że Roscysz mógłby dać fory panu Bocage, mimo jego talentów. Galeria Coppiola grała rolę naiwnej przeszło w setnym roku życia. Słuszność każe przyznać, że najstarsza z naszych młodych heroin nie przekroczyła sześćdziesiątki i że pod tym względem panna Mars nawet nie oznacza postępu. Oni mieli trzy lub cztery tysiące bogów, w których wierzyli, my tylko jednego, w którego nie wierzymy; postępek, zaiste, dosyć osobliwy! Czy Jowisz nie jest silniejszy od Don Juana, czy nie jest uwodzicielem większego kalibru? Doprawdy, nie wiem, cośmy wynaleźli lub nawet udoskonaili.

Po dziennikarzach postępowych istnieją jakby dla kontrastu dziennikarze zblazowani, którzy mają zazwyczaj dwadzieścia lub dwadzieścia dwa lata, nie wysunęli jeszcze nosa poza swą dzielnicę i nie widzieli z bliska kobiety poza swoją posługaczką. Tych wszystko nudzi, męczy, zabija; są przesyleni, stępieni, zużyci, nieprzystępni. Wiedzą z góry wszystko, co im powiesz; wszystko widzieli, czuli, doświadczyli i słyszeli, nie ma w sercu ludzkim tak ukrytego zakątka, którego by nie rozświetlili swą latarnią. Powiadają wam z cudowną pewnością siebie: „Serce ludzkie nie jest takie, kobiety nie czują w ten sposób, ten charakter jest fałszywy“, albo: „Cóż, u licha! Ciągłe miłość i nienawiść! Ciągłe mężczyźni i kobiety! Czy nie można wreszcie mówić o czym innym? Ależ od czasu jak pan de Balzac wziął się do roboty, męczyzna wyciśnięty jest jak cytryna, a kobieta jeszcze bardziej!“

Od mężczyzn, kobiet któż nas oswobodzi?

„Czy panu się zdaje, że pańska fabuła jest nowa? No-
wa jest jak Nowy Most: na świecie nie ma nic pospolit-
szego; czytałem to, nie wiem już gdzie, kiedy byłem na
mankach czy gdzie indziej; kotłują mi tym uszy od
dziesięciu lat. Zresztą dowiedz się pan, że nie ma rzeczy,
której bym nie znał, że wszystko dla mnie jest zużyte
i że choćby pańska myśl była dziewicza jak sama Dzie-
wica, twierdziłbym pomimo to, że widziałem ją, jak się
oddawała na rogu ulicy najmizerniejszym skrybom
i najlichszym gryziopiórkom.“

Inni znów skarżą się ustawicznie, że muszą czytać
książki i oglądać sztuki. Z okazji lichego wodewilu opo-
wiadają o kwitnącym drzewie migdałowym, o lipach
siejących woń dokoła, o powiewie wiosennym, zapachu
młodego listowia; pozują się na kochanków przyrody,
jak młody Werter, mimo iż nigdy nie stąpili nogą poza
Paryż i nie odróżniliby kapusty od buraka. Jeżeli rzecz
dzieje się w zimie, będą prawić o rozkoszach domowego
ogniska, ogniu, który migoce na kominku, o pantoflach,
marzeniu, półśnie; nie omieszkają zacytować słynnego
wiersza Tibulla:

Quam iuvat immites ventos audire cubantem

dzięki czemu nadadzą sobie uroczy tonik rozczarowa-
nia zarazem i naiwności. Przybierają pozę człowieka,
którego dzieła ludzkie nie są już zdolne pocieszyć, któ-
rego wzruszenia dramatyczne zostawiają równie zim-
nym i ostrym jak scyzoryk, a który mimo to woła jak
J. J. Rousseau: „Barwinek! Barwinek!“¹ Ci głoszą
okrutną antypatię do pułkowników z teatru „Gymnase“,
do wujów z Ameryki, kuzynów, kuzynek, starych wia-
rusów-mruków o czułym sercu, romansowych wdów

¹ Jan Jakub Rousseau, *Wyznania*. Część I.

i starają się nas wyleczyć z wodewilu dowodząc co dzień swymi felietonami, że nie wszyscy Francuzi są dowcipni. Ostatecznie nie widzę w tym nic złego: przeciwnie, z przyjemnością uznaję, że wygaśnięcie wodewilu albo opery komicznej we Francji (narodowy gatunek sztuki) byłoby jedną z największych łask niebios. Ale chciałbym wiedzieć, jakiemu rodzajowi literatury pozwoliliby ci panowie zakwitnąć w miejsce tamtej? To prawda, że nie mogłoby być gorzej.

Inni prawią kazania przeciw złemu smakowi i tłumaczą tragedie Seneki. Wreszcie, aby zamknąć pochód, powstał nowy batalion krytyków nie widzianego jeszcze rodzaju.

Formuła ich oceny jest najwygodniejsza, najbardziej rozciągalna, rozplaszczalna, najbardziej stanowcza, krańcowa i triumfalna, jaką kiedykolwiek krytyk zdołał wyimaginować. Sam Zoil z pewnością pisałby się na nią.

Aż dotąd, kiedy kto chciał obniżyć dzieło lub zohydzić je w oczach patriarchalnego abonenta, dawał zeń cytaty fałszywe lub z perfidią wyosobnione; przekreślał zdania i fałszował wiersze w ten sposób, iż sam autor wydałby się sobie niebotycznie śmiesznym, zarzucał mu urojone plagiaty, zestawiał ustępy z jego książki z ustępami dawnych lub nowych książek nie mających z nią najmniejszego związku; oskarżał go w kuchennym stylu, iż nie zna języka i że kazi mowę Racine'a i Woltera; upewniał z całą powagą, że dzieło jego popycha do ludożerstwa i że czytelnicy staną się niechybnie kanibalami lub dostaną wodowstrętu w ciągu tygodnia. Ale to wszystko to nędza, zamierzchła przeszłość, wykopaliska, zabytki. Oskarżenie o niemoralność tak długo włóczyło się po felietonach i artykułkach, iż stało się zupełnie bezskuteczne, i tak dalece nie prowadzi do celu, że jedynie „Constitutionnel“, dziennik jak wia-

domo wstydlivy i postępowy, ma rozpaczliwą odwagę posługiwania się nim jeszcze.

Wynaleziono tedy krytykę przyszłości, krytykę oczekiwania. Czy ogarniecie od pierwszego rzutu oka, jakie to uroczę i w jak bogatej wylęgło się wyobraźni? Recepta jest prosta i mogę ją podać. Książka, która „będzie“ piękna i którą będzie się chwalić, jest ta, która się jeszcze nie pojawiła. Ta, która się pojawia, jest niezmiennie ohydna. „Jutrzejša“ będzie wspaniała, ale co dzień jest „dziś“. Ten rodzaj krytyki przypomina pewnego balwierza, który umieścił na szyldzie dużymi głoskami te słowa:

„JUTRO GOLI SIĘ TUTAJ ZA DARMO.“

Nieboracy, którzy czytali tę kartę, przyrzekali sobie na jutro tę niewymowną, nieskończoną słodycz, iż raz w życiu odświeżą sobie facjaty nie rozwiązując sakiewki; z uciechy szczeć rosła im na brodzie na pół stopy przez noc, która poprzedzała ten błogosławiony dzień, ale kiedy im już związano serwetkę na podgardlu, ów ówik zapytywał, czy mają pieniądze, i podsuwał im tackę z żądaniem zapłaty, inaczej oporządzi ich tak, że popamiętają do dnia Sądu; przysięgał na ciężką cholere, że poderżnie im gardło, o ile się nie wypłaca, a kiedy niebożęta, pełne troski i konfuzji, powoływały się na szyld i na przenajświętszy napis. „He! he! Dzieteczki — mówił balwierz — niedobrze widać znacie się na pisanym, trzeba wam jeszcze wrócić do szkoły! Karta powiada: «Jutro». Nie jestem tak głupi i pomyłony, aby golić darmo dziś; koledzy powiedzieliby, że podkopuje rzemiosło. Wróćcie innym razem, na przykład trzydziestego lutego, wówczas wygodzi się wam do smaku. Niech mnie trąd i wszelka zaraza ogarnie, jeśli wam tego nie wyczynię gratis, słowo uczciwego balwierza.“

Autorowie czytając taki prospektywiczny artykuł, gdzie oporządza się ich obecne dzieło, łudzą się zawsze, że książka, którą piszą, będzie książką przyszłości. Starają się dostroić, o ile możliwe, do pojęć krytyki, stają się społeczni, postępowi, moralizujący, palingenetyczni, mityczni, panteistyczni, sądzą, iż w ten sposób ujdą straszliwej anatemy; ale zdarza się im to co klientom balwierza: „dziś“ nie jest wilią jutra. „Jutro“ tyle obiecywane nie zabłyśnie nigdy światu; formuła jest zbyt wygodna, aby ją rzucić tak rychło. Zohydzając książkę, o którą jest zazdrosny i którą chciałby unicestwić, krytyk oddaje sobie honory najszlachetniejszej bezstronności. Ma minę człowieka, który niczego tak nie pragnie, jak zachwycić się i chwalić, ale nie czyni tego nigdy. Recepta o wiele wyższa od owej, którą można by nazwać retrospektywną, a która polega na tym, aby chwalić jedynie dzieła dawne, przez nikogo już nie czytane i nie zawadzające nikomu, kosztem książek nowych, którymi świat się zajmuje i które bardziej drażnią miłość własną.

Powiedzieliśmy przed rozpoczęciem tej rewii panów krytyków, że temat mógłby wypełnić piętnaście lub szesnaście tomów *in folio*, ale że zadowolimy się kilkoma wierszami; zaczynam się lękać, że te kilka wierszy mają każdy dwa do trzech tysięcy sążni i że podobne są do owych pękatek broszur, tak grubych, że nie przebiłaby ich kula armatnia, a noszących obłudny tytuł: „Słówko o rewolucji, słówko o tym lub owym.“ Historia dzieł i uczynków, różnorodnych amorów boskiej Magdaleny de Maupin mogłaby snadno uciepnieć na tym, a każdy pojmie, że całkowity tom to wcale nie nadto, aby godnie opiewać przygody tej pięknej Bradamanty. Dlatego to, mimo całej ochoty, jaką mielibyśmy, aby kontynuować ten herbarz znamienitych Arystarchów

epoki, zadowolimy się niniejszym szkicem dorzucając nieco uwag nad dobroduszością poczciwych współbraci w Apollinie, którzy, jak Kasander w pantominie, sterczą w miejscu znosząc szcztuki Arlekina i kopnięcia w siedzenie imć Bajazza, nieruchomi na kształt martwego bałwana.

Podobni są do fechtmistrza, który w czas turnieju skrzyżowałby ręce na plecach i przyjmował w odsłoniętą pierś pchnięcia nie próbując ni razu ich sparować.

To tak jak rozprawa, na której sam prokurator miałby głos, lub dysputa, podczas której replika byłaby wzbroniona.

Krytyka utrzymuje to i tamto. Niesie się z partesu i zabiera się ostro do roboty. Nedorzeczne, wstrętne, potworne: to niepodobne do niczego, to znów podobne do wszystkiego. Wystawiasz dramat, krytyk idzie go oglądać; zdarza się, że nie odpowiada w niczym dramatowi, jaki ukuł sobie w głowie z tytułu; wówczas w recenzji przeciwstawia dramat własny dramatowi autora. Siada na konika erudycji, wydziela z siebie wszystką wiedzę, jaką nagromadził poprzedniego dnia w leksykonach, i znęca się bez litości nad ludźmi, od których powinien by się uczyć i z których najskromniejszy mógłby dawać lekcje tęższym od niego.

Autorowie znoszą to ze wspaniałomyślnością, cierpliwością doprawdy niepojętą. Któż bo są ostatecznie ci krytycy o tonie tak rozstrzygającym, o wyroku tak zwięzłym, iż wzięłoby się ich za prawdziwych synów bogów? Po prostu ludzie, z którymi kolegowaliśmy w szkołach i którym widocznie studia mniej wyszły na użytek niż nam, skoro nie wydali żadnego dzieła i skoro nie są zdolni robić nic innego, jak tylko opaskudzać i psuć dzieła innych, niby istne strzygi-stymfalidy.

Czyżby to nie było wdzięczne zadanie — krytyka krytyków? Ci bowiem wielcy wybrednisię, którzy przybierają tak pyszne i nieprzystępne miny, bardzo są dalecy od nieomylności, jaką cieszy się nasz ojciec święty. Byłoby czym zapełnić co dzień pismo w największym formacie. Ich „bąki“ historyczne lub inne, fałszywe cytaty, błędy językowe, ich plagiaty, gadulstwo, wyświechtane i liche koncepty, ich ubóstwo myśli, brak inteligencji i taktu, nieświadomość najprostszych rzeczy, która pozwoliłaby im uważać Pireus za człowieka, a pana Delaroche za malarza, dostarczyłyby obficie autorom odwetu, bez żadnego nakładu pracy, poza trudem podkreślenia danych ustępów ołówkiem i dosłownego ich przedrukowania. Ha! cóż! Z patentem krytyka nie otrzymuje się patentu na wielkiego pisarza; nie wystarczy zarzucać drugim błędy stylu lub smaku, aby ich nie popełniać samemu; nasi krytycy dowodzą tego co dzień. Bo gdyby Chateaubriand, Lamartine i inni ludzie tej miary jęli się krytyki, zgodziłbym się wreszcie, aby paść przed nimi na kolana i uwielbiać ich; ale że panowie Z, K, Y, V, Q, X lub inne litery alfabetu pomiędzy pierwszą a ostatnią bawią się w małych Kwintilianów i strofują nas w imię moralności i piękna, to mnie zawsze oburza i przywodzi do wściekłości. Chciałbym, aby wydano ukaz policji, który by zabronił pewnym nazwiskom tykać niektórych innych. Prawda, iż wolno psu na Pana Boga szczeukać, i że święty Piotr w Rzymie, mimo że taki olbrzym, nie może przeszkodzić, aby szanowni Transtewerynowie nie zapaskudzali go dołem bez ceremonii; nie sądzę wszakże, aby było szaleństwem położyć na pewnych monumentalnych reputacjach ten napis:

„ZANIECZYSZCZANIE TEGO MIEJSCA WZBRONIONE.”

Jeden Karol X zrozumiał dobrze kwestię. Zarządzając zniesienie dzienników oddawał wielką usługę sztuce i cywilizacji. Dzienniki są rodzajem faktorów i stręczycieli, którzy się wciskają między artystę a publiczność, między króla a lud. Wiadomo, jak piękne rzeczy z tego wynikły. Te nieustanne naszczekiwania głuszą natchnienie i sieją taką nieufność w sercach i umysłach, że nikt nie śmie zawierzyć ani poecie, ani rządowi, co sprawia, iż królewskość i poezja, dwie największe rzeczy w świecie, stają się niemożliwe ku wielkiej klęsce ludów poświęcających swoje szczęście dla nędznej przyjemności czytania co rano paru świstków lichego papieru zaczernionych lichą farbą i lichszym jeszcze stylem. Nie było krytyków sztuki za Juliusza II, nie znam felietonu o Danielu de Volterre, Sebastianie del Piombo, Michale Aniele, Rafaelu ani o Ghibertim delle Porte, ani o Benwenucie Cellini, a mimo to sądzę, że jak na ludzi, którzy nie posiadali dzienników, którzy nie znali słowa „sztuka“ ani słowa „artystyczny“, mieli dosyć talentu i nienajgorzej wywiązywali się z rzemiosła. Czytanie dzienników przeszkadza, aby mogli istnieć prawdziwi uczeni i prawdziwi artyści, jest to codzienna rozpusta, która sprawia, iż przybywacie wyczerpani i bez siły do łoża Muz, dziewuch twardych i wymagających, które żądają krzepkich i nie zużytych kochanków. Dziennik zabija książkę, jak książka zabiła architekturę, jak artyleria zabiła odwagę i siłę fizyczną. Nikt nie domyśla się nawet, ilu przyjemności pozbawiają nas dzienniki. Odejmują nam dziewiczość wszystkiego, czynią, iż nie mamy nic na własność i że nie możemy posiadać książki dla samego siebie; odejmują niespodziankę w teatrze, powiadają z góry o rozwiązaniu, pozbawiają was przyjemności paplania, plotkowania, obmawiania i oczerniania, fabrykowania nowin

zmyślonych lub obnoszenia prawdziwych przez tydzień po wszystkich salonach świata. Pompują w nas mimo naszej chęci sądy już gotowe i uprzedzają do rzeczy, które by się nam podobały; czynią to, iż kupcy korzenni, byle mieli trochę pamięci, bredzą o literaturze równie nedorzecznie jak członkowie prowincjonalnych akademii; sprawiają, iż przez cały dzień słyszymy w miejscach myśli naiwnych lub osielstw indywidualnych źle strawione strzępy dziennika, podobne do omletu surowego z jednej strony, a przypalonego z drugiej; sprawiają, iż lada chłystek karmi nas nielitościwie nowinami starymi od kilku godzin, wiadomymi już dzieciom przy piersi; tępią smak, czynią nas podobnymi do tych pijaków zalewających się wódką z pieprzem, do tych łykaczy piłek i raszpli, którzy nie znajdują już żadnego smaku w najszlachetniejszych winach i niezdolni są odczuć ich szacownego i pachnącego bukietu. Gdyby Ludwik Filip raz na zawsze zniósł dzienniki literackie i polityczne, miałbym dlań nieskończoną wdzięczność i z miejsca zrymowałbym na jego cześć dytyramb, odpowiednio rozczochrany, wolnym wierszem i krzyżowanymi rymami, z podpisem „W. K. M. bardzo powolny i wierny poddany“ itd. Niech sobie nikt nie wyobraża, że przestano by się zajmować literaturą; w czasie kiedy nie było dzienników, czterowersz zaprzętał cały Paryż przez tydzień, a premiera przez pół roku.

To prawda, iż straciłoby się ogłoszenia i pochwały po trzydzięci su od wiersza i że rozgłos byłby mniej rychły i mniej piorunujący. Ale wyobrażam sobie bardzo przemyślny sposób zastąpienia anonsów. Gdyby od chwili puszczenia w obieg tego wspnianego romansu łaskawy monarcha skasował dzienniki, posłużyłbym się z pewnością tym sposobem i obiecuję sobie po nim złote

góry. Z nadejściem wielkiego dnia, dwudziestu czterech krzykaczy, o barwach wydawcy, z jego adresem na grzbiecie i na piersiach, niosąc w dłoni sztandar, na którym byłby wyhaftowany po obu stronach tytuł romansu, każdy poprzedzony doboszem i cymbalistą, przebiegną miasto i zatrzymując się na placach i narożnikach będą krzyczeć donośnym i wyraźnym głosem: „Dzisiaj, a nie wczoraj ani jutro, puszcza się w obieg wspniany, niezrównany, boski romans wielce sławnego Teofila Gautier, *Panna de Maupin*; dzieło, którego Europa, a nawet inne części świata i Polinezja oczekują przeszło od roku z taką niecierpliwością. Sprzedaje się w ilości pięciuset egzemplarzy na minutę, wydania zaś następują po sobie co pół godziny; jesteśmy właśnie przy dziewiętnastym. Oddział gwardii municypalnej znajduje się u bram magazynu, powstrzymuje tłum i zapobiega rozruchom.“ Zaiste, to by warte było trzywierszowego anonsu w „Debatach“ i w „Kurierze Francuskim“, pomiędzy opaskami elastycznymi, stalkami do krynolin, smoczkami z niezniszczalnego kauczuku, balsamem Regnaulta i receptami przeciw bólowi zębów.

Maj, 1834